TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 4. *Chicago, Ills., 23 Lipca, 1885 r.* Rok II.

TRZY MIESIĄCE.

ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Ciąg dalszy.)

Szczególna jednak zmiana, jaka zaszła w poważnem usposobieniu Izy, ten jej zapał do swatania brata i przyjaciółki, były dla mnie niezbitym dowodem, że Leon nie darmo oczy przewracał. Schwyciwszy więc sposobną chwilę, zrobiłem stosowną uwagę matce.

— Oh! ja już dawniej tego się domyślałam... cóż myślisz?...

— Ja bardzobym pragnął tego... znam go dobrze... szlachetna dusza...

— I ja tak sądzę... odpowiedziała matka... i los i szczęście Izy zoły postanowione. Bogu niech będzie chwała! choć jednego dopełniłem obowiązku!...



Kazimierz Wielki, król kmieci, (Strona 64.)

Pudełko musiałem przy Izie zamknąć do kuferka, list musiałem włożyć do pugilaresu. Alfred przyszedł na pożegnanie, ale się trzymał dobrze.

Minąwszy rogatki, po razy kilka obejrzałem się za Warszawą... za tem miastem, które kochać się każe nawet obcym, a w którem część życia mego została...

Powóz pędził po szosie, a im bliżej byłem Dębowa, tem pilniej mi było!... Nareszcie o zmroku trąbka zagrała... stanęliśmy!... Ale dosyć te-

sta

go... zmęczony jestem... Bałem się, żeby mi scena przy śniadaniu nie zbladła pod siłą innych wrażeń... a Izie miło będzie, gdy kiedyś przekona się, żem zapamiętał każde jej słówko i giest każdy!... Teraz spać!... ah! spać mi się chce serdecznie, od sześciu tygodni po raz pierwszy!... Dzięki ci wiosno!... Ty nawet widmo śmierci zielenią karmisz... A jutro jak świt w pole... ale cię wezmę ze sobą mój ty spowiedniku papierowy... Przywykłem do ciebie i ten rachunek codzienny sumienia wychodzi mi na dobre. Co za śliczna noc... Dwunasta.. ah! mniejsza... Daleko ztąd do tamtąd... a dziś usypiam wśród ciszy wiejskiej i cały jeszcze pełen wiosennego powietrza i zapachu pękających liści!... Piękny jest świat!...

Dębowo 27 kwietnia.

Trzeci już dzień rozkoszuję się wsią. W tym roku wiosna dziwnie wczesna, jak gdyby dla mnie umyślnie, bym jej użył do syta. Żebyż aby maj był piękny i ciepły, bo dni mglistych boję się teraz. Te trzy dni były śliczne... Na koniu lub z kijem w ręku przebiegłem wszystkie pola, napiłem się oddechu lasów, poopatrywałem stodoły i obory. Na twarzy rządzcy i ekonomów widzę wyraz przerażenia i trwogi. Rzeczywiście sam siebie pytam, dla czego ja nie gospodarowałem sam dotąd, a teraz tak się tem ciekawie zajmuję?... Wszak znam się na tem — byłem w Proszkowie i na praktyce. U mnie gospodarstwo idzie nieszczególnie, po staremu... Od dwóch lat wróciłem z zagranicy i oto nie robiłem nic... Przedewszystkiem trzeba zaprowadzić płodozmiany. Widziałem wielki kawał bagien, któryby łatwo osuszyć można. I tu koło domu. Niby to porządnie i z pańska... wielki park i dziedziniec przed domem ogromny, ale coby tu zrobić można... Gdyby nie... a ba!... Trzeba było dawniej myśleć o tem... Dziwna rzecz, że ja innemi oczyma teraz na wszystko patrzę. Powinno mnie to wszystko nie obchodzić... a przecież interesuje bardziej jak dawniej... W chatach jest tak jak było. Bieda, brud, niechlujstwo... wieje oknami i drzwiami, z sionki; gdzie się pasie prosię, wyziewy szkaradne zatruwają powietrze, lud nędzny... dzieci obdarte, brudne i nagie... Jakże to musi skracać życie... a przecież żyć tak dobrze!... Nie dbałem o nich... może niejedno z tych dzieci z powodu tych brudów i zaniedbania umarło wcześniej... Teraz dopiero widzę ile krzywdy człowiek może wyrządzić nic nie robiąc nawet...

A smutno to jednak umierać tak młodo nic nie zostawiwszy za sobą... Umierać z przekonaniem, że dzieła nasze nas przeżyją, że imię nasze błogosławionem będzie przez pokolenia, jest może dziecinną pociechą, ale jest pociechą... Nasłuchałem się tylu pozytywnych i materyalistycznych prelekcyj, znam teorye nowoczesne, i trudno rozumowi memu oprzeć się dowodom, jakie szkoła ta przytacza... Tak... któż kiedy naprawdę widział, ducha?... Wszystko co człowiek czuje, tworzy, myśli jest dziełem lub grą jego organów materyalnych, których funkcye nauka już odszukała lub jest na drodze odszukania. Nieubłagana logika każe wierzyć, że świat cały jest wynikiem równowagi i wiecznego tarcia się sił pewnych, ale te siły wcielają się w materyę także...

Więc człowiek jest rozwiniętem zwierzęciem, szczytem organicznych istot, ale niczem więcej... Mózg człowieczy może się zwiększyć, o tyle naprzykład, o ile nasz się zwiększył w stosunku do mózgu człowieka kopalnego, ale zawsze tylko mózgiem zostanie... narzędziem do tworzenia idei, z chwilą śmierci jednak rozpływającem się w materyi... Z człowieka więc nie zostaje nic duchowego, nic osobistego, nic czującego...

Tak chce nauka... tak dziś sądzi większość ludzi wykształconych... a jednak dawniej już, i dziś bardziej jeszcze jak dawniej, jest coś we mnie, co głośno protestuje przeciwko tej teoryi, co woła, że nauka się myli, że jest w człowieku i we wszechświecie jakiś pierwiastek duchowy, nieśmiertelny, nie wsiąkający w materyę, by zgnić i przetworzyć się chemicznie z nią razem...

Nie!... to niepodobieństwo!... ja... który kocham, myślę, mam poczucie piękna i tęsknotę za ideałem, ja, który wciąż przeczuwam i dążę do czegoś nieznanego i nieistniejącego tutaj, ja, który pchany tem instynktowem przeczuciem idę coraz dalej i dalej i zwyciężam nie tylko materyę, lecz siłę... ja, człowiek, miałżebym być tylko materyą?... Więc wszechmądra przyroda, która każdemu stworzeńku dała wszystko co mu potrzeba... nie mniej i nie więcej, miałaby człowieka tylko obciążyć kłamliwem pragnieniem i apetytem fałszywym?... Nie! niech nauka mówi co chce... ona musi błądzić w jakimś punkcie i jest przejściem

tylko... Człowiek nie umiera całkowicie... zostaje się z niego coś...

I gdybym na prawdę uwierzył, że ze strzałem pistoletu ginie cała istność moja, oh! wtedy anibym myślał o wykonaniu warunków pojedynku... Honor?... Gdzież miejsce dla honoru w zwierzęciu?... Jeżeli w człowieku nie ma pierwiastku duchowego, to owe poświęcenia, cnoty, bohaterstwa, honor, ojczyzna, farsą są i dziecińtwem...

Na pozór zdawałoby się, że łatwiej jest umrzeć z myślą, że się skończy wszystko... nie ma niepokoju o przyszłość, nie ma strasznej zagadki: co potem?...

Z doświadczenia wiem, że tak nie jest... Nie raz i nie razy tysiąc od chwili losowania owo straszne: co potem? stawało mi przed umysłem, zagadkowo, przerażająco... sfinksowo... Odpychałem to widmo. Nie wspominałem tu o tem, bom się lękał... Czułem, że wątpliwości zwyciężyły wiarę... a wtedy... Tu na wsi jakoś spokojniejszy jestem... To wiosenne odżycie natury uspokaja mnie... Zauważałem, że ile razy nowoczesne wyobrażenie o człowieku przeważało we mnie... ile razy sądziłem, że z hukiem pistoletu tylko trochę materyi zostanie ze mnie, tyle razy śmierć zdawała mi się szaleństwem, okropnością, i pytałem się w duchu: czy słowo jak honor warte tego?... Jeżelić z życiem kończy się wszystko, to to życie, byt, jest dla mnie najwyższym skarbem, i nie ma rzeczy, dla którejby go poświęcić warto... Gdy zaś instynkta moje kazały mi wierzyć, że coś z człowieka zostaje, obejmowała mnie prawda trwoga i przestrach wielki... ale ta tajemnica wabiła, ta wiara w inny byt jakiś łagodziła grozę śmierci...

W mieście w pierwszych chwilach koniec bez nieśmiertelności stawał mi jako rzecz niewątpliwa... Dla tego może tak wiele cierpiałem... Od czasu przybycia matki, a zwłaszcza od chwili wyjazdu na wieś... wiara w nieśmiertelność, w duchowość człowieka wraca...

Jakto?... więc z takiej, jak moja matka istoty, szczypta prochu się zostanie tylko?... więc ten rozum, ta miłość... ten instynkt odkrywający głąb dziecięcego serca, to dzieło komórek i gruczołków, nerwów i mięśni?...

Nie! to niepodobna...

Tak!... tak!... po tysiąc razy tak!... jest po za grobem coś...

Nie jestże to iluzya także?... Oh! straszna niepewność!...

Dębowo 24 rano w lesie.

Jak tu pięknie i miło... Promień słońca nie zajrzał jeszcze we wszystkie zakątki cieniste lasu, nie wypił wszystkich brylantowych kropel rosy... Błyszczą wszędzie na około mnie na gromadzie sasanek, na wrzosie, kapią z leszczynowych listeczków młodych...

Tak mi tu dobrze, tak miło, że się wybrać nie mogę do Słomnik... Jutro jednak czwartek, dzień ostatni...

Dziwna ta Izia ze swoim zapałem do połączenia nas z Marynią... Sądząc z fotografii, zdaje się ładna... bardzo nawet ładna... w moim guście... jedna z tych twarzy nieklasycznych, nie stworzonych wedle cali i linii, ale pełnych uroku ogólnego i wdzięku, jaki tylko dusza daje...

Któż wie?... gdyby tak dawniej?... Szkoda!... Co prawda nie kochałem jeszcze ani razu na prawdę... Naturalnie były sentymenta studenckie, upodobania, miłostki, kaprysy nawet gwałtowne... Mój młodzieńczy romansik z Anielą miał nawet wiele do miłości podobieństwa... Ale prawdziwie nie kochałem jeszcze... Żadna z kobiet nie potrafiła rozbudzić tego uniesienia, o którem poeci mówią... przed żadną bezwarunkowo nie ukląkłem duszą... Podobała mi się ta i owa, pragnąłem jej gorąco i namiętnie, ale żeby kobieta stała mi się wszystkiem... żeby miłość jej była choć na chwilę życia mego potrzebą i koniecznością, nie było tego zdarzenia... Tak... kochałem się nieraz, ale... nie kochałem ani razu...

A jednak i ja marzyłem miłość wielką... i ja czułem i czuję, że do niej zdolny jestem... i ja mam swój ideał... Nie spotkałem go dotąd... ale spodziewałem się zawsze... dziś... zapóźno!...

Szkoda!... Szkoda, skończę nie kochając... A jednak miłość to szczyt duchowego życia, to krótsza lub dłuższa chwila extazy, w której człowiek kosztuje kilku kropli prawdziwego szczęścia...

Umrzeć a nie kochać i nie być kochanym... umrzeć a nie zaznać owych chwil zachwytu, gdy dwie dusze zapominając o wszystkiem, zlewają się w jedno... ani razu na wzór Romea nie sprzeczać się o to, czy słowik czy skowronek śpiewa... wyjść z życia nie zajrza

wszy do tego zaczarowanego kątka, który jest rajem życia, nie doznawszy tego, co jedynie coś warte w życiu!... to smutno... Życie bez miłości... to nie życie... Umrę nie żyjąc...

Źle, że mi ta myśl przyszła... byłem uspokojony, zrezygnowany...

Ha! cóż robić!... Może to i dobrze... mniej powodów do żalu...

Dębowo 29.

Co się ze mną robi?... Byłem dziś w Słomnikach i wróciłem oszalały, oczarowany..., szczęśliwy i rozpaczający... Gdym spotkał pierwsze spojrzenie tej kobiety, gdy ręka moja dotknęła jej ręki list oddając, poczułem, że to... ona... Oh!... tak!... tak!... to ona!... Czem przy niej te wszystkie piękności, którem widział, lub którem admirował przez chwilę?... Gdzie oczy, z którychby równie jasno i wyraźnie anielska patrzała dusza?... gdzie istota, któraby takim głosem powiedziała te parę wyrazów:

— Spodziewam się, że ukochany brat Izy będzie i moim przyjacielem...

Słysząc ten głos, drżałem... bo zdawało mi się, żem go słyszał od dawna... gdzieś w snach moich czy marzeniach... jak harmonijny i brzmiący szeptał mi: kocham cię... kocham!...

Tak, to ona!... to marzony mój ideał... a raczej nie!... to jeszcze coś piękniejszego, idealniejszego... tyle gracyi, tyle wdzięku... nie widziałem nigdy... każdy jej ruch zdaje się być śpiewem, każdy uśmiech ukazaniem się słońca... każde spojrzenie pieszczotą pełną dziewiczej czystości...

Ale cóż ja robię?... Chcę ją opisać?... Analizuję ją... Szaleństwo... te kilkadziesiąt zabazgranych stronic już mnie zaraziło manią literacką... Wszystko zeszpecić piórem... anioła z uroku obedrzeć, opisując długość jego nosa i ust szerokość...

Maryę opisać!... Maryę odmalować piórem czy podobna?... Słońce nawet nie umiało tego... jej fotografia to karykatura zaledwie, bo fotografia schwytała kontury tylko i formy... Zresztą nie wiem czy ona piękna... czy za niska lub za wysoka, czy owal jej twarzy jest bez zarzutu!... Co mi do tego!... Co mnie to obchodzić może?... Marya jest tą, którąm śnił i marzył... oto wszystko!... Tym razem się nie mylę... Nigdy żadna kobieta takiego na mnie wrażenia nie zrobiła od razu... A wrażenie to rosło im uważniej patrzałem na nią, im surowiej chciałem oceniać każde jej słowo, im dłużej zostawałem w jej atmosferze... Ah! nareszcie kocham!...

Dębowo 30 kwietnia.

Wczoraj pełen uniesienia i szału, owiany jeszcze jej urokiem, napisałem wyraz „kocham..." Dziś, po nocy marzeń i po dniu spędzonym wśród lasu, powtarzam to wyznanie. Kocham, jakem nie kochał nigdy... kocham po raz pierwszy prawdziwie... Czuję to po przewrocie, jaki w całej mej istocie zaszedł, po nastroju mej myśli, po tej nieustanności, z jaką obraz jej widzę wszędzie... z jaką głos jej brzmi w moich uszach...

Jestem zaproszony na jutro do Słomnik na obiad... Jakżebym pragnął by godziny minutami były... Drzę radością na myśl, że się zbliżę znów do niej, że ją widzieć i słyszeć będę... Jaka ona cudna!... jak ona...

Dębowo 1 maja.

Jakiż ja dzień przepędziłem dzisiaj!... Jakby mi sprzyjając, słońce świeciło i grzało, pączki drzew pękały w oczach, fijołki rozwijały się na wyścigi, wonią swą przepełniając powietrze, ptaszki w zieleniejących już drzewach wszystkiemi głosami szczebiotały, wszystko żyło, radowało się, kochało, śpiewało pieśń życia, miłości i nadziei... Z pól, z łąk, z drzew, z kwiatków wiał ów powiew pachnący, wiosenny, ożywczy, pod wpływem którego starzec nawet czuje życie odradzające się w piersi, i z dziecinnym uśmiechem, upojony, pijany, marzy, że jest młodzieńcem.

I w takim dniu byłem z nią razem... Obiad w Słomnikach po staremu bywa wcześnie... Starzy państwo i równie stary proboszcz zostali na ganku przy kawie czarnej... ona bez przesadnej ostrożności, sama, otwarcie, spokojnie, zaproponowała mi przechadzkę...

Która z miejskich panien odważyłaby się zniknąć wśród szpalerów i cieni sam na sam z młodym człowiekiem?... bez mamy lub cioci?... Maryi na myśl nie przyszło, żeby w tem mogło być coś zdrożnego... Istoty, jak ona, instynktem czują, że w samotności czy w obec tłumu, nikt nawet myślą ubliżyćby im nie śmiał...

Chodziliśmy długo... ona swobodna, z dziwną mięszaniną powagi i wesołości opowiadała mi czasy spędzone razem z Izą na pensyi, pokazywała mi kwiaty w oranżeryi, opatrywała

inspekta i z równem zajęciem zdawała się przypatrywać prześlicznemu rododendronowi, jak wschodzącej rzodkiewce...

Ja byłem pełen admiracyi, uniesienia, szczęśliwy i wesoły jak dziecko... Mój smak artystyczny lubował się każdym jej ruchem, giestem każdym... Czy rękę wyciągnęła by listek zerwać z drzewa, czy przyklękła by kwiatek uszczknąć, czy z powagą profesora opowiadała mi historyę i własności egzotycznego krzewu w oranżeryi, była zawsze pełna wdzięku, uroku... W tem co mówiła nie było ani egzaltacyi, ani pospolitości... Było to naprzemian dziecko i rozumna, myśląca kobieta... Stanąwszy na tak zwanym ślimaku, pokazywała mi pola i smugi zielone i zarumieniona, sama jak bogini wiosny, biorąc mnie za rękę i drugą pokazując w koło, mówiła:

— Patrz pan, jakie to piękne, jakie nasze!... Nie ma gór, to prawda... ale czyż tylko góry zachwycać mogą... Piękność jest wszędzie... Co bardziej uspokojającego, wdzięczniejszego jak ta równina lekko pofalowana, pohaftowana wszystkiemi wdziękami zieleni, urozmaicona tu i owdzie wioską, kościołem, laskiem... zlewająca się w dali tak cudownie z błękitem... Patrz pan... tam na dole, nad rzeczką te pasące się krowy!... Powiedz pan, czy Rosa Bonheur piękniejszy, świeższy krajobraz utworzyć może?... Widziałam Alpy... uwielbiałam... ale mi strach było... tu... uwielbiam i uśmiecham się... A gdy mi pokazywała ów szeroki krajobraz, gdy zapomniawszy się mówiła o nim językiem, którego powtórzyć nie umiem, ale który był najpyszniejszą improwizacyą poetyczną, wypowiadaną jednak bez emfazy i namysłu, nie wiem doprawdy jaki anioł stróż uchronił mnie od rzucenia się przed nią na kolana i powiedzenia, że ją kocham...

— Gdy się krzewy rozrosną na tym ślimaku — mówiła schodząc — za jakie lat kilka, będzie to najulubieńsze moje miejsce...

— Za kilka lat — rzekłem korzystając ze sposobności — pani gdzieindziej urządzać się będziesz...

— Dla czego?...

— Pójdziesz za mąż...

— Hm... kto wie...

— To prawda... Pani wolno być trudną w wyborze...

— Ah! karzesz pan moją zarozumiałość... Niesłusznie... Ja jeden warunek stawiam...

— Ciekawym — rzekłem drżąc prawie.

— Oh! bardzo prosty... Chcę kochać!...

— Ale w tem właśnie kwestya, jakim być trzeba, żeby zyskać miłość...

Spojrzała na mnie wielkiemi oczyma swemi zdziwiona.

— Nie wiem doprawdy... mnie się zdaje, że rozwiązanie zagadki do tego kogoś należy...

Dziwna rzecz! W ustach innej kobiety słowa te byłyby otwartem wyzwaniem, kokieteryą rażącą. Marya powiedziała to tak poważnie i seryo, że podobne podejrzenie na chwilę nawet błysnąć nie mogło...

Zmęczona siadła na kamiennej ławeczce w altanie.

Mogłem usiąść przy niej, ale dziwny jakiś szacunek nie pozwolił mi na to... Siadłem na przeciwko... Marya z fijołków układała bukiet i nie patrzyła na mnie... Mnie w tej chwili położenie moje stanęło przed oczyma w całej grozie swojej... Kochać ją... może być kochanym... cudną tę istotę nazwać swoją... żyć w atmosferze tej niewinności i wdzięku... co za raj!... A tymczasem!!..

Twarz moja musiała ten żal wyrażać, bo Marya podniosłszy oczy, zatrzymała je na mnie ze zdziwieniem, które w tej chwili zmieniło się w wyraz smutku i współczucia.

— Izia — rzekła — pisała, żeś pan cierpiący i smutny... poleciła mi leczyć pana... Wprawdzie ona wie, jak ja szczęśliwą jestem mogąc komuś wrócić uśmiech i spokój... ale tu zadanie zbyt trudne... Rany serca ten tylko wyleczyć może, kto je zadał... lub czas...

— Izie przywidziało się moje cierpienie... wszak widzi pani jak wesoły jestem...

— Oh! nie zwiedziesz mnie pan!... My kobiety przeczuwamy, gdy kto koło nas cierpi... choćby to najdoskonalej ukrywał... Pewna instynktowa sympatya ciągnie nas tam, gdzie potrzeba dłoni przyjaznej i słowa współczucia... Więc i pańska wesołość chwilowa nie zwiodła mnie... Ożywiłeś się tylko na chwilę... udawałeś przez grzeczność zapewne... zapomniałeś... bo przy takiem słońcu, wśród zieleni i szczebiotu ptaków, nie można być smutnym...

— Ale zkąd pani wnosisz, że miłość nieszczęśliwa jest powodem mej choroby moralnej, jeżeli chory jestem?...

— Bo w pańskim wieku i położeniu in-

nych nieszczęść być nie może...

— A jednak, ja pani daję słowo, że objawy, które tak zaniepokoiły Izę, któremi i pani zainteresować się raczysz przez przyjaźń dla niej, nie mają źródła w sercu... Gdy Iza list swój pisała, nie kochałem...

To nie kochałem było dosyć wyraźne i sam się go przestraszyłem trochę...

Jakoż Marya spojrzała mi w oczy jakby zdziwiona i niedowierzająca... Znać oczy te mówiły więcej jeszcze, bo natychmiast swoje spuściła i lekki rumieniec wystąpił na jej lica i czoło...

— Ale jeżeli tak jest, to nie rozumiem...

— Nie sil się pani... troskliwość matki i Izy zwiększyły znaczenie chwilowego rozdrażnienia... Skorzystałem na tem, bom został pacyentem lekarki, która uzdrowić zdolna wszystko... co uzdrowić można...

— Wstydź się pan — rzekła pół żartem pół seryo podnosząc się — ja z panem mówię jak z bratem mojej ukochanej Izi, a pan mi zużytemi komplementami odpowiadasz... Szczerość, to pierwszy warunek przyjaźni... Chodźmy do domu... czas na kawę...

Słowa te mnie zabolały... Czułem sam, że te frazesa o lekarce mogły być na miejscu w salonie, ale Maryę musiały razić pospolitością... Nie odpowiedziałem nic i szedłem smutny i milczący obok niej... Zdaje mi się, że parę razy spojrzała na mnie z boku. Nie daleko już od domu zatrzymała się i pokazując mi kląb tulipanów, rzekła szybko, jakby chcąc prędko wypowiedzieć myśl swoją:

— Patrz pan, jutro lub pojutrze tulipany te rozkwitną... są między niemi prześliczne i rzadkie, bo dziadzio jak Holender kocha się w tych kwiatach... warto je zobaczyć...

Intencya była wyraźna, a sam ambaras przy wypowiedzeniu pełen uroku... Miałem wielką ochotę ucałować dłoń jej pokazującą mi tulipany, ale brakło odwagi. Dziwna rzecz, jak człowiek się nieśmiałym staje gdy kocha... Słów te kilka rozwiało chmurę i smutek... Byłem znów wesół i najsumienniej grałem z proboszczem i panem Strusiem w wista cały wieczór, puszczając bąk za bąkiem, bo myśl moja a często oko goniły za nalewającą herbatę i kręcącą się po pokoju Maryą...

— Kocham cię Karolku — powtarzał staruszek — ale w wista nie grywaj, bo Dębowo przegrasz...

— Istotnie... istotnie... dodawał proboszcz.

Obaj jednak byli kontenci, bo wygrali po parę złotych. Żegnając, odważyłem się podać jej rękę... Leciuchne uściśnienie przekonało mnie, że się nie obraziła. Dotąd otacza mnie jeszcze jej urok... widziałem ją wracając w cieniach gwiaździstej nocy, widzę ją tutaj... Nie! nigdy nie doznawałem tego, co teraz...

Dębowo 2 maja.

Odczytując to, com napisał wczoraj, i przypominając sobie dzień wczorajszy, dziwię się własnej zarozumiałości... Sądzićby można, że Marya jest na drodze zakochania się we mnie... Kto wie, czy sam wczoraj tak nie myślałem... wstyd mi... Nic gorszego jak śmieszność, a to co Francuzi nazywają fat jest najśmieszniejszą na świecie istotą.

Dziś chłodniej zastanawiając się nad rzeczą, widzę właśnie, że jej obejście ze mną, wyklucza wszelką myśl czulszego uczucia... Taka swobodna, taka szczera i naturalna, jakby nie przypuszczała nawet, że między mną i nią może inny stosunek istnieć jak prostej przyjaźni... Co gorzej, ona się lituje nademną!... Litość i miłość... jedno wyłącza drugie... Kobieta kocha tylko wtedy, gdy admiruje, gdy czuje siłę i wyższość, gdy wie, że na ukochanym jak bluszcz koło dębu oprzeć się będzie mogła... A ona lituje się... i ma mnie za chore dziecko, które wyleczyć trzeba!... Przyznam się, że Iza wcale mi wielkiej przysługi swym listem nie wyrządziła...

Wszystkie jej nawet serdeczne zwroty, które wczoraj brałem za objawy rodzącego się uczucia, były tylko wyrazem... litości...

Ha!... może to lepiej... a raczej lepiej z pewnością!... Mogęż ja nawet pragnąć jej wzajemności?... A potem co?... A jednak mój Boże... być kochanym przez nią!... Na jedną chwilę przycisnąć ją do piersi... serce jej czuć przy swojem sercu... słyszeć z jej ust karminowych cichy szept miłosny i widzieć te oczy błyszczące a zamglone uniesieniem... jedną godzinę przemarzyć przy jej nogach... jeden dzień przeżyć w tym raju, który jej miłość stworzyćby potrafiła!... Potem umrzeć... choćby w torturach!... Ale umrzeć nie doznawszy tego... skończyć nie zakosztowawszy szczęścia...

Czyż ja jeden na świecie całym mam być pozbawiony tego wrażenia, którego doznaje kwiatek gdy go promień słońca pieści, do którego mają prawo wszelkie istoty stworzenia...

Mamże zejść w tę zagadkową otchłań nicości czy nowego życia, nie będąc szczęśliwym, nie żyjąc ani chwili...

(Tu znać Karol przerwał pisanie, bo następujący ustęp pisany spokojniejszym charakterem. Przyp. Wydawcy.)

Ale nie!... Nie dla skazańca rozkosze takie!... Chcieć zdobyć to serce, chcieć tę duszę czystą i anielską opanować, byłoby zbrodnią z mej strony. Istotę pełną życia związać z człowiekiem na śmierć skazanym, stworzonej do szczęścia kazać pokochać upiora... którego pamięć zatrułaby jej życie całe!... nie!... to się nie godzi!...

Nie pojadę jutro oglądać tulipanów... nie... tylem zniósł, zniosę i resztę... Wszak to już sześć tygodni nie całych. Wyrzeknę się jej widoku... To jest... będę ją widywał rzadko... od czasu do czasu... Czegóż mi więcej potrzeba?... Wszak i tak więcej szczęścia niż marzyć mogłem... Dobry mój genjusz przyprowadził mnie tutaj i oto... na schyłku życia... kocham prawdziwie...

Tak cokolwiek mnie to kosztować będzie... unikać jej będę...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAŚNIE.

POTĘPIONA.

Miała dziewczyna szesnaście lat i przyszedł do niej pierwszy młodzieniec, i rzekł: piękna dziewczyno, daj mi twój wieniec, w młodości będę cię kochał szczerze, później będę twe dzieci pieścił i bawił, w starości będę ci usługiwał — a dziewczyna odpowiedziała, nie. Przyszedł drugi młodzieniec, i pięknej dziewczynie rzekł: piękna dziewczyno, daj mi twój wieniec, naprzód, będę cię kochał szczerze, później z naszemi dziećmi i z tobą będę się pieścił, w starości będę ci służył, — a dziewczyna odpowiedziela, nie, nie!

I przyszedł trzeci, ale już nie młodzieniec, i pięknej dziewczynie rzekł: piękna dziewczyno, jużem nie młodzian, lecz jeźli dasz mi swój wieniec, będę ci wierny i stały — a dziewczyna znowu odpowiedziała: nie i nie — a kiedy jej ojcowie perswadowali i przekładali, ażeby z trzech kochanków wybrała sobie jednego, ona w złości wyrzekła: wolałabym djabła, niżeli jednego z tych trzech. — I niezadługo śród głuchej nocy przyleciał szatan w postaci człowieka — przyleciał pod jej okienko i w jej okienko, sztuk, sztuk.

Gościnne drzwi otwierają, szatan w postaci młodzieńca wchodzi i mówi:

Witajże, witaj piękna dziewczyno i powtórz czy będziesz moją? —

Dziewczyna patrzy, dziarski młodzieniec, oko iskrzące, wąs zawiesisty i cała postać udatna i odpowiada, będę.

I szatan w człeka postaci, w radości piękną dziewczynę do swego boku przycisnął, i rzekł: ah! jużeś moją, moją na wieki. —

W pięknej dziewczynie zadrzało serce, jej twarz rumiana zbladła, chwiała się biedna w bojaźni, ale już było zapóźno!

Kiedy młodzian miał słowo, i wychodząc dobra noc mówił, piękna dziewczyna do krosien swoich, największy kłębek wybrawszy, nić długą, długą bez końca w igły nawlekła ucho, igłę w młodzieńca szatę utkwiła, kłębek puściła w progu i młodzian wyszedł ciągnąc za sobą nić długą, długą bez końca.

I kiedy szatan przeklęty śród głuchej nocy z wiatrem poleciał, a kłębek nici w progu, nić długą, długą, bez końca odwijać przestał, dziewczyna wziąwszy paciorki, święte szkaplerze i księgę świętą i ów kłębek w swe dłonie, poszła za nim; i idąc wciąż kłębek nici zwijała, i tak po kłębku wśród głuchej nocy, chłodnego wiatru, śledząc tropy kochanka, stanęła na cmentarzu, i patrzy zdala przez

otwór w murze, a jej kochanek na smutnej mogile siedzi i czaszkę trupią ogryza, — widząc to zlękła się, zadrżała i kłębek w jej dłoni zadrzał i sobą nić długą szarpnął, a igła z nicią w kochanka szatę była utkwioną.

Jak zły duch ujrzał nić w swojej szacie, reszty się łatwo domyślił i do kochanki z wiatrem poleciał, ale kochanka uciekła, a uciekając po jednym paciorku ze swej koronki za swoje ramię rzucała, a co który paciorek rzuciła, szatan stanął, — lecz gdy jej brakło koronki, święte szkaplerze za ramie swoje rzucila, a kiedy do domu jeszcze było daleko, ze świętej księgi, kartę po karcie, za swoje ramię rzucała, aż przecie domu dobiegłszy, do izby wpadła, drzwi zatrzasnęła.

A szatan wkrótce dobiegnął, i stanąwszy przed okienkiem, w jej okienko sztuk, sztuk — i kiedy się spytała: kto tam? — Ja. twój kochanek, twój przyszły mąż, chce się zobaczyć z tobą swoją kochanką, więc otwórz — ale że otworzyć nie chciała, szatan rzekł: otwórz moja dziewczyno, otwórz, bo jeśli nie otworzysz, twój ojciec trupem padnie. Dziewczyna nie otworzyła, i ojciec ducha wyzionął. — Szatan zaś rzekł: otwórz moja dziewczyno, otwórz, bo jeśli nie otworzysz, ty sama żyć przestaniesz. — Dziewczyna nie otworzyła ale wkrótce kur zapiał i szatan sobie poleciał.

I rzekła do sług dziewczyna: Jako mój ojciec i matka moja, i ja nieboga wkrótce już was opuszczę, opuszczę was na wieki — ale mój ojciec i matka moja już są szczęśliwi, a zaś ja nieszczęśliwa, żadnej a żadnej łaski nie godna, kiedy zamknę me powieki, w cztery deski na nic nie zdatne, włóżcie me grzeszne ciało, i na rozstajne zanieście drogi, i tam w głębokim grobie złóżcie me zwłoki.

To wyrzekłszy, piękna dziewczyna skonała, a jej słudzy, jak ona przed śmiercią rozrządziła, zrobili.

Na rozstajnych drogach, na nieznacznej mogile wyrosla lilia biała — lilia biała rosła tak wysoko, jak piękna owa dziewczyna leżała w grobie głęboko, — I królewicz jadąc po łowach, z swemi ludźmi, ze dworem — przejeżdżał rozstajne drogi — ludzie od jego dworu, na nieznacznym grobie, lilię białą ujrzeli — i jeden z ludzi, białej lilii wonią zwabiony, na grób nieznaczny wstąpił, i aby lilię zerwać, rękę wyciągnął, a lilia z pod jego dłoni kwiat uchyliła, i było słychać piosenkę:

Nim twa kochanka, ni twoja żona,
Ani dla ciebie tu posadzona.

Kiedy drugi, i trzeci, i dziesiąty dworzanin białej lilii wonią zwabiony, na nieznaczny grób wstąpił, i aby lilię zerwać rękę wyciągnął, a lilia z pod jego dłoni kwiat uchyliła i było słychać zawsze tę samę piosenkę, donieśli o tem królewiczowi.

Królewicz ujrzawszy zdala tak piękna lilię białą, zachwycony przyskoczył, na nieznaczny grób wstąpił, białą lilię zerwał, jej kwiatem swój kapelusz przystroił, i do pałacu wrócił.

Wróciwszy do pałacu, złocisty wazon co stał w pięknym salonie białą ozdobił lilią. — A w pięknym owym salonie sypiał królewicz z wiernym swym sługą.— Królewicz strudzony łowami spokojnie i twardo zasnął, a wierny sługa bezsennie nad panem czuwał.

Kiedy wierny sługa czuwał, u drzwi salonu leżąc bezsennie, o samej północnej dobie, w złocistym wazonie ogień zabłysnął, błysnął raz, drugi i trzeci, a z białej lilii zdobiącej wazon złocisty, powstała śliczna panna, piękna jak lilia — powstawszy w środek salonu wstąpiła, naprzeciwko zwierciadła stanęła, a łamiąc w rozpaczy dłonie, gorzko westchnęła.

Zdziwił się sługa wierny, a zdziwiony i zlękły, słowa przemówić nie mógł, i tylko patrzył co dalej z tego będzie.

A śliczna panna do pięknej lilii podobna, z królewicza gotowalni, wzięła grzebień brylantowy i trefiła cudne włosy—ciągle, ciągle gorzko wzdychała; aż kiedy kogut zapiał, w wazonie ogień błyskać zaprzestał, śliczna panna zniknęła — i znowu złocisty wazon, biała lilia zdobiła.

Wierny sługa się zdziwił, ale nic panu swemu, królewiczowi nie mówił i czekał na drugą noc — skoro trzy nocy jedna po drugiej takie widzenie miał wierny sługa, już przed królewiczem panem swym zamilczeć nie mógł, i o wszystkiem powiedział. — Królewicz wierzyć mu nie chciał, ale wierny sługa, chcąc dowieść prawdę, taki na to sposób podał, aby królewicz na jego miejscu bezsennie czuwał, a on na miejscu jego przepędzi ten czas.

Kiedy na czwartą noc królewicz u drzwi salonu bezsennie czuwał, o samej północnej dobie, w złocistym wazonie ogień zabłysnął, błysnął raz, drugi i trzeci a z białej lilii, zdobiącej złocisty wazon, powstała prześliczna panna jak piękna lilia — powstawszy w środek salonu wstąpiła, na przeciwko zwierciadła stanęła, a łamiąc w rozpaczy

dłonie, gorzko westchnęła — potem jako i wprzódy z królewicza gotowalni, brylantowym grzebieniem trefiła cudne włosy — i ciągle, ciągle gorzko wzdychała.

Królewicz widząc tak śliczną pannę, w jej się na śmierć zakochał — a bojąc się, by nie uciekła, z pod drzwi salonu, kędy bezsennie czuwał, ostrożnie i cicho powstał, na palcach, z boku się do niej zbliżył, w pół ją rękami objął, do swego przycisnął serca.

Panna zlękniona krzyknęła, kur zapiał, błyszczący ogień w wazonie zgasnął, a śliczna panna przy jego boku, z pod jego rąk zniknęła i znowu złocisty wazon biała lilia zdobiła.

Od tego czasu wprzódy wesoły królewicz, smutkiem dręczony wszystkie uciechy świata, zabawy, łowy i królewskie rozkosze porzucił, i ciągle koło swej lilii chodząc, strasznie się smucił — a biała lilia co noc w północną dobę w śliczną przemieniała się pannę, i kiedy ją co noc królewicz chwytał, z pod jego rąk znikała i zmieniwszy się w lilią białą, złocisty jego wazon zdobiła.

Tak nieszczęśliwy królewicz, po jednej północnej dobie, kiedy śliczna panna zmieniła się w lilię, w rozpaczy wybiegł z pałacu i nad morze zaszedł— i chodząc nad jego brzegiem patrzył na burzę, na bijące o brzeg bałwany— chodził, patrzył i dumał, a jego serce, jak bałwan morski o brzegi, biło o jego piersi.

Idąc powoli, smutny w rozpaczy, ujrzał w blizkości dziecinę, nad morza zpadzistym brzegiem siedzącą, która maleńkiemi rączkami w morzu pluskała. — Zdziwiony królewicz widokiem owej dzieciny, rzekł do niej: moja dziecino, powiedz zkąd jesteś i czyje, zaprowadzę cię do matki, bo tu jeśli mocniejszy wicher wionie, głębokie morze wnet cię pochłonie na wieki, — a dziecina odpowiedziała:

Ja jestem z pod głębi morza, panem i rządzcą jego bałwanów, a kiedy igram nad brzegiem, woda się burzy, bałwany biją o brzegi i walczą z falą, a ja się bawię, igram i pluskam drobną rączyną— więc lepiej ty ztąd ustąp człowieku, bo kiedy plusnę rozkoszniej, ciebie głębokie morze wnet pochłonie na wieki. —

Aha — pomyślał królewicz sobie, i na kilka ustąpił kroków, — a rządzca bałwanów morza w postaci owej dzieciny, obejrzał się za nim i mówił:

Mądry człowiecze, chodzisz posępny, milczysz i dumasz, a twoje serce, jak bałwan morski o brzegi, bije w twe piersi, — a twoją lilię białą, trawi ogień piekielny, trawi i trawi i strawić jej nie może, a ty wybawić jej nie umiesz.

Smutny królewicz widząc że pan, rządzca morskich bałwanów, chociaż w postaci małej dzieciny, zna jego smutek dokładnie i wie wszystkie krytości, błagał go o dobrą pomoc i radę. — A pan rządzca bałwanów morskich, litując się nad królewicza smutkiem, rzekł:

Z palmy święconej w niedzielę Kwietnią, utnij dziewięć gałązek, w świętości zbrojny, czekaj w swoim salonie północnej doby, a kiedy północ nadejdzie, miejsce, na którem staniesz, określ trzech króli kredą i kiedy lilia biała przemieni się w dziewicę, wciągnij dziewicę w to koło, do swego przyciśnij boku ręką lewą, a ręką prawą machaj palmami na wszystkie strony — a chociaż ona będzie się pokornie prosić, rzewliwie jęczyć i płakać, a tobie grozić będą straszydła, widma, djabły i czary, pamiętaj byś jej nie puścił, aż zawoła Jezus, Marya, ratujcie mię niebogę!

Gdy tym sposobem ta nieszczęśliwa wybawiona zostanie, rozkaż czem prędzej aksamitem czerwonym z twego pałacu wysłać do ołtarza drogę, — i z nią czem prędzej idź do kaplicy — i z nią na klęczkach przyjmij ślub świętej małżeńskiej wiary. — Lecz strzeż się, strzeż królewiczu, aby wyścielony aksamit nie zatliła iskierka, gdyżby wszystko przepadło.

Uratowany królewicz dziękował panu i rządzcy bałwanów morskich za taką pomoc i radę — a rządzca bałwanów morskich w postaci małej dzieciny, pluskając drobną ręczyną w morzu, roześmiał się jak dziecko, potem klasnął rączkami i buchnął w morskie głębie, i kto wie czy nie utonął, czy gdzie się podział, ale go królewicz więcej nie widział.

O samej północnej dobie w złocistym wazonie ogień zabłysnął raz drugi i trzeci, a z białej lilii zdobiącej złocisty wazon powstała śliczna panna jako lilia. — Powstawszy, w środek salonu wstąpiła, naprzeciwko zwierciadła stanęła, a łamiąc ręce wzdychała, potem, jako i wprzódy z królewicza gotowalni, brylantowym grzebieniem trefiła cudne włosy, i ciągle gorzko wzdychała.

Królewicz w świętości zbrojny, jak z nagła przy niej stanął, trzech króli kredą koło zakreślił, pod swe ramię ją objął, aż tu ze wszystkich stron, straszydła, mary, ogień i błyskawice, niewiedzieć zkąd się wzięły — to jedna mara straszne wyciąga ręce

po niego, to druga żelazne widły wymierza, to znowu inne straszydło rozpalonem żelazem mu grozi, przypada blisko i w niego mierzy, a iskry lecą ze wszystkich stron — a ona jęczy, woła i błaga: puść mnie, bo mnie zadręczysz, puść mnie nie morduj, cóżem ci winna? ach zlituj się nademną! — a królewicz na nic nie zważa, palmą do koła macha, dziewczynę pod swem ramieniem, przy swoim boku i do serca, co ma siły, przyciska.

A gdy północna doba minęła, dziewczyna woła: „Jezus Marya ratujcie mnie niebogę"! — Mary, ognie, straszydła, wszystko zniknęło, tylko dziewczyna została, i stojąc chwilę zdumiona, pot zimny z czoła otarła. — Złocisty wazon co stał w pięknym salonie, białą lilią nie był więcej ozdobiony. — Królewicz nie zwleka czasu, bierze drżącej dziewczyny dłoń, — ona nie opiera się wcale, i z nim po aksamicie czerwonym do kaplicy na swój ślub idzie.

Gdy przybyli do kaplicy, już było wszystko gotowe, i już, już uklęknąć mieli, kiedy spostrzeżono że nie wszystkie jeszcze pozapalano świece — wołają — idzie powolnym krokiem dziad rudobrody, ale tak zły i nie miły, jakby nie był na ślubie, lecz na pogrzebie, idzie zapala ostatnią świecę, przez nieostrożność w nią trąca, świeca na ziemię upada, na ziemię w czerwony aksamit przyozdobioną — świeca aksamit zapala, piorun uderza, ogień się szerzy, — uciekają z kaplicy – uciekli, już w kruchcie stoją — piorun uderza raz drugi, i znowu gore, uderza trzeci, oni truchleją, — a na czarnym rumaku ogień nozdrzem ziejącym, iskrami parskającym jeździec czarny rogaty, z psim pyskiem, z kłami wilczemi, rzecze do pięknej dziewczyny: Siadaj na koń dziewczyno, siadaj przy mnie jedyna, bo przyrzekłaś być moją — ach! jużeś moją na wieki! — I z objęć królewicza porwał swoją dziewczynę, do swego przycisnął boku, i śmiejąc się po szatańsku, klaszcząc w pazurne dłonie ruszył w powietrze galopem.

JASKINIA POTĘPIEŃCA.

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Każdy promyk nadziei dla wątpiącego jest balsamem. Żona skwapliwie, gorączkowo kazała spieszyć, aby się najprędzej dowiedzieć, czy iskierka nadziei wzbudzona przezemnie się urzeczywistni.

Niestety! pojazdu nie było, ani też się tam nie pokazał, chociaż to już było nad ranem.

Już nie było nadziei. Żona zemdlała, a gdy przyszła do siebie, płakała, załamywała ręce. Jam stał niemy, bom nie wiedział, co mówić, co czynić. Zdecydowałem się wreszcie odesłać żonę pod strażą służby do domu, a sam z Mikołajem, który do dziś dnia u mnie się znajduje, konno powrócić i przepatrzeć okolicę.

Dzień pierwszy błąkałem się po lesie, ale ani nic widzieć, ani nic znaleźć nie mogłem. Wszelkie dopytywania były daremne; pojazd przepadł bez śladu.

Dopiero dnia drugiego znalazłem z pomocą kilku wieśniaków kolasę, ale próżną. Było to w jakiejś dolinie wśród mocnej gęstwiny. Koni, ani osób nie było; kolasa obdarta ze wszelkich ozdób, była połamana, a na koźle i w środku znajdowało się wiele już zaschłej krwi.

Struchlałem na ten widok....

Rozbiegliśmy się, aby trupy, lub szczątki jakie wynaleźć, ale oprócz krwi tu i owdzie rozlanej, nic więcej znaleźć nie było można. Na widok krwi, może mego dziecięcia, i moja krew kipiała.... ale to nie zmieniło jednak położenia.

Z rozpaczony stałem obok kolasy, jako nad

grobem mego dziecka, a poświęciwszy mu kilka łez, postanowiłem wrócić do domu, aby żonę uspokoić.

Jasnem było, że zbójcy czatowali na nas, gdyż może się dowiedzieli, że znaczne pieniądze wiozłem ze sobą, sprzedawszy wtenczas dobra nabyte przez posag żony; w tem tylko też celu odbyłem podróż tak daleką. Owóż owi łotry zapewne sądzili, że tylko jeden pojazd do mnie należy, a napadłszy go uprowadzili w gęstwinę, a potem dziecię i cały fraucymer składający się z trzech panien, ze zemsty zamordowali.

Tak więc pozbyłem ukochane dziecię w sposób okrutny, straszny....

Naznaczyłem później znaczną sumę na wykrycie zbrodniarzy, ale dotychczas nikt się po nią nie zgłosił.

Wystawić sobie proszę płacz, lament i rozpacz mojej żony!...

Nieboraczka ciężko zachorowała; ledwo w kilka miesięcy mogła powstać z łoża, podobna do trupa, do szkieletu....

To było pierwsze widzenie strasznej larwy, po którem nastąpiła straszniejsza jeszcze katastrofa. Żeby ona stała w związku jakim z morderstwem nie sądziłem i nie sądzę, ukazanie się jej jednak było o tyle wpływającem, że pojazd nas wyprzedził, a przez to swą zgubę znalazł. —

Tu Miecznik chwilę odpoczął, jakby przypominał sobie wrażenie, jakiego w owym pamiętnym dniu doznał. Szanując uczucia jego nikt nie śmiał się odezwać, aż sam Miecznik po kilku westchnieniach zaczął mówić dalej:

— Wszystkie boleści przemijają z czasem; człowiek oswoi się ze wszystkiem. Ciągła radość sprowadza przesyt, a ustawiczna boleść wprawia w odrętwienie.

Przeboleliśmy już tyle! Zdawało się, że po sejmie Grodzieńskim poszalejemy, zabijemy się, lub zakopiemy się w ziemię; a cóż? przeboleliśmy, i dzisiaj, chociaż rana w sercu naszem pali nas ogniem, jednak nie jest śmiertelną już dla naszego ciała.

Owóż przeminęła owa rozpaczliwa boleść po stracie naszego dziecięcia srodze zamordowanego, zostało się tylko jeszcze rzewne, smutne wspomnienie.....

Miałem jeszcze jednego, najstarszego syna Michała i córeczkę Annę. Pan Bóg w nagrodę za stracone dziecię, błogosławił mi w żyjących. Michał wyrosł na tęgiego, dorodnego chłopca, a Anna poszła za mąż.

Jeszcze nie minął rok po weselu, a już trąbka wojenna odezwała się w Polsce. Co tylko czuło krew polską w żyłach, a miłość ojczyzny w sercu, biegło naprzeciw hordzie moskiewskiej, którą aczkolwiek w dobrych zamiarach, jednak bezmyślnie i głupio sprowadzono dawniej do kraju. Siadam i ja na konia, aby szablę moją poświęcić ojczyźnie — Michał beczy.... chce jechać ze mną. Uściskałem go z radości, ale wziąść nie chciałem.

Odjechałem z małym pocztem do obozu pana Pulaskiego. Że obóz był niedaleko, wnet też się do niego dostałem, coby tak łatwo nie było poszło; gdyby obóz był dalej rozbity. Moskwy kręciło się co niemiara, trzebaby się było przerzynać przez zastępy całe, a tu moja mała garstka była za szczupłą aby się chociaż pół sotni oprzeć.

Pan Pułaski przyjął mnie z nieudaną radością, zwłaszcza, jak mówił, że będzie miał mnie poniekąd doświadczonego do rady. Dał mi natychmiast komendę nad rajtaryą obozową.

Moskwa stała niedaleko i sposobiła się do ataku. Wiedział o tem i pan Pułaski, dla tego byliśmy wszyscy na każdą chwilę przygotowani. Zapał był niesłychany; każdy gorąco tylko tego pragnął, aby miecz w posoce nieprzyjaciela jak najprędzej ubroczyć. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa powinno było nazajutrz, albo co najpóźniej drugiego dnia, przyjść do starcia.

Już było późno w noc, kiedy usnąłem. Marzyłem o tem i owem, aż się przebudzam i słyszę tuż około mnie jakieś szepty, jakieś znajome głosy. Pytam: kto tu mówi? ale zamiast odpowiedzi, ściskają mnie cztery ręce. Serce mi zabiło — zrywam się do góry — tak — nie omyliło mnie przeczucie... to Michał i mój zięć, mąż Anny.

Lubo w sercu byłem dumny z tego, że chłopak mój już z młodości woli na wojaczkę, aniżeli gnuśnie siedzieć za piecem; że zięć woli służyć ojczyźnie, aniżeli kobiecie do śpiżarni zaglądać; to jednakże zganić im to musiałem, chociaż przyznam się, nie szczerze. Chciałem użyć powagi, ale cóż to pomogło? — ani jeżem byś ich nie odegnał.

Tak więc nolens volens zatrzymać ich musiałem.

Jak już powiedziałem, miałem komendę nad rajtaryą. Umieściłem więc w niej syna i zięcia, jako prostych szeregowców, gdyż według mego zdania, czy jenerał, czy prosty żołnierz, każdy zarówno służy ojczyźnie. Niektóry jenerał nawet byłby się bardziej przysłużył ojczyźnie, gdyby był tylko szeregowcem! — Obu jednak umieściłem blizko siebie, a mianowicie Michała pilnie miałem na oku, by czasem komenderującemu ojcu wstydu a sromu, broń Boże! nie zrobił.

Moskale nie zaczepiali nas jeszcze, chociaż groźnie się trzymali. Następnego dnia, a mianowicie następnej nocy, trzeba było pikiety podwoić, bo nieprzyjaciel stał tak blizko, że jego patrole aż pod nasze placówki podciągały. Ja sam nie spuszczałem się na podkomendnych, ale osobiście objeżdżałem w nocy widety.

Było jakoś około północy. Wsiadłem na konia i z dwoma podkomendnymi oficerami, jechałem przy świetle księżyca rewidować posterunki, ażali każdy swoją pełni służbę. Jedziemy nad lasem, widety i inne posterunki zatrzymują nas podług instrukcyi, wypytują, a potem nas puszczają.

Wszystko było w najlepszym porządku.

Naraz widzę coś po za krzakiem... to ona! ta sama twarz, którą dawniej w owym pamiętnym dniu widziałem. Wzdrygnąłem się, z jej ukazaniem cała katastrofa stanęła mi żywo w pamięci. Koń mój także na bok odskoczył, jakby go co ukłuło, lub ukąsiło.

Osoba moja znajdowała się w pełni światła księżycowego; widziadło także aż do szyi jasno było oświeconem. Stanąłem, spojrzałem przerażony na widmo; i ono zdawało się być również przerażonem, bo swe małe, zielonkowate oczy badawczo utopiło we mnie.

W pierwszej chwili wyrwałem z olstra pistołet, aby kulą wystrzelić owe jaszczurcze oczy, ale na szczęście jeszcze na czas zastanowiłem się. Strzał mój byłby pewno obóz cały zaalarmował, a ja miałbym za to wszystko tylko szyderstwo w zapłacie.

Skoczyliśmy tedy, aby babę, lub bądź co bądź, złapać. Ale nadaremnie. Szukaliśmy, biegaliśmy — napróżno, czarownica przepadła nam w oczach, znikła jak dym.

Towarzysze moi w powrocie żartowali z tego, co widzieli, mnie zaś inne opanowały myśli. Zdarzenie z owem widziadłem przed kilkunastu latami było mi wróżbą nieszczęścia, gdzie ani nawet niebezpieczeństwa nie było. Dzisiaj, gdy w każdej chwili śmierć zagrażała, zjawienie podobne tem mocniejsze mogło na mnie wywrzeć wrażenie.

I też wywarło.

Jechałem milcząc. W głowie mi bębniło; byłem zupełnie pewien, że niebezpieczeństwo mi zagraża, a raczej, że nieszczęście mnie oczekuje — byłem pewny, że się stanie coś nieprzewidzianego. Ale komuż niebezpieczeństwo zagraża? — mnie? synowi? zięciowi? — na to nie miałem odpowiedzi. Myślałem sobie tak: chociażbym ja i zginął, ojczyzna, świat nic na tem nie traci, bom już nie młody. Co się tyczy mego rodu, nie miałem obawy, bo chociaż jednego miałem syna, jednak krzepkiego i dzielnego, na którego mogłem rachować, że imię moje rozkrzewi. Ale gdyby syn!... gdyby zięć!... wzdrygnąłem się i uciekając od własnych myśli, wspiąłem konia ostrogami. Stanęlismy w obozie.

Natychmiast pobiegłem do syna i zięcia. Namawiałem ich do wrócenia do domu, przedstawiałem niebezpieczeństwo — ba! zamiast oni się ustraszyć, tem mocniej jeszcze obstawali przy swojem. Nie było rady, trzeba ich było zatrzymać. Jednak dla bezpieczeństwa, postanowiłem tak nimi rozporządzić, aby na kule nieprzyjaciół najmniej byli wystawieni.

Nie było to jednak tak łatwem, jak sobie wystawiałem. Mieli mnie już od samego początku w podejrzeniu, że ich zamyślam wstrzymać od udziału w bitwie, więc tyle się naprzykrzali, tak prosili, że innej rady nie wiedziałem, jak przystać na ich żądanie.

Ledwo nazajutrz dobrze zaświtało, już przednie czaty starły się z nieprzyjacielem. Wkrótce zawrzała ogólna walka. Nasi siekli moskiewskich żołdaków jak kapustę, ale Moskwy przeważna siła nie pozwalała nam spędzić nieprzyjaciela z placu. Mianowicie armaty srodze nam dokuczały — a my nie mieliśmy ani jednej. Pomimo to, walka toczyła się dotąd ciągle pomyślnie dla nas, bo chociaż nieprzyjaciela upędzić nie mogliśmy, to i on z drugiej strony ani o krok nas nie cofnął.

Już dwa razy wykonałem na czele jazdy atak; syn i zięć walczyli obok mnie, jak dwaj bochaterowie. Zatrąbiono znowu do ataku. Sko-

czyliśmy pędem, dragonia moskiewska stawiła nam opór i dała w samo czoło ognia. Z całego oddziału spadło tylko dwóch z koni, a tymi zabitymi byli... mój syn i zięć!...

Zakrzyknąłem z rozpaczy, z wściekłością tygrysa wpadłem z oddziałem na dragonów i złamałem ich od razu. Nasieczono pogan co niemiara, a reszta w największym popłochu uciekła. Zwycięztwo jazdy rozstrzygnęło bitwę; odnieśliśmy zwycięztwo zupełnie, ale niestety! opłaciłem je śmiercią mego syna i zięcia!..

Obydwaj ugodzeni kulami w piersi na placu boju ducha wyzionęli.....

Stanąłem zrozpaczony nad ich ciałami, a łzy obfite zrosiły me policzki. Boleść niesłychana ścisnęła mi serce, w głowie mi pociemniało, zmysły mnie opuściły i padłem zemdlały przy trupach mych dzieci. —

Kiedy znowu zmysły odzyskałem, leżałem na posłaniu, a rękę prawą miałem obandażowaną. Cóż to znaczy? pytam. Odpowiadają, że byłem cięty w bitwie, czego dla strasznego bólu w sercu, ani nawet nie spostrzegłem. — Żal po stracie niepowetowanej i upływ krwi tak mnie osłabił, że na czas niejaki postanowiłem wrócić się do domu, aby napowrót siły odzyskać. —

Mieszkanie moje nie było nazbyt odległe od pola bitwy. Pojechałem zatem sam jeszcze tego samego dnia, bo mi zresztą chodziło o to, abym mógł osobiście żonie i córce ową straszną donieść nowinę. Obawiałem się bowiem, aby mnie kto nie ubiegł i nieprzygotowanej na taką wieść matce i żonie o śmierci dziecka i męża nie doniósł. Zwłaszcza obawiałem się o córkę — była ona właśnie w stanie błogosławionym. Nagłe przerażenie mogłoby czas porodzenia przyspieszyć, a tak matce, jak i dziecięciu zaszkodzić.

Byłem jeszcze od domu oddalony około pół mili. Pomiędzy mną a wioską był lasek sosnowy, niewysoki, ale gęsty. Krzaki zasłaniały mi jeszcze dachy wioski, ale za laskiem wieś już przedstawiała się oku wyraźnie. Wjechałem w lasek, ujechałem może jakie tysiąc kroków, gdy wtem usłyszałem jakiś szelest, i równocześnie koń wierzgnął i na bok uskoczył. Obejrzałem się zdziwiony.

Z poza krzaka zobaczyłem znowu owo złowrogie oblicze ze zielonkowatemi oczyma!..

Jakaś niewypowiedziana trwoga ogarnęła mnie; już spiąłem konia ostrogami, aby jak najprędzej uciec, ale jednak się opamiętałem. Schwyciłem za pistolet.

— Ha! czarownico! — wykrzyknąłem, — już mi nie ujdziesz!

I w tej chwili dałem ognia, mierząc prosto w łeb widziadła.

Nie wiem, czym źle mierzył, ile że tylko lewą rękę miałem wolną, czy też miałem do czynienia z istotą nienaturalną, — dość, że chybiłem. Przez chwilę stałem na drodze, nie wiedząc co począć. Wreszcie zesiadłem z konia, szukałem, ale nadaremnie, bo niczego znaleźć nie mogłem. Wołałem nawet, aby się owa stara do mnie zbliżyła, zaręczając, że nie tylko nic jej nie zrobię, ale owszem sowicie jałmużną obdarzę.

Wszystko to było jednak napróżno!..

Przejęty jakiemś złowrogiem przeczuciem, wsiadłem na konia i cwałem pojechałem. Za laskiem zamek mój leży niedaleko, dla tego też niedługo stanąłem u celu.

Nim bliżej dojeżdżałem, tym bardziej jakaś wewnętrzna obawa mną miotała. Gdy w bramę wjeżdżałem, trząsłem się, jak we febrze. Skoczyłem, jak mogłem najprędzej z konia, wbiegam na wschody, wpadam do przedsionku i spotykam kilku służących. Twarze ich jakieś poważne, uroczyste.

Stanąłem i oni stanęli. O! z ich wzroku wyczytałem, że nic dobrego nie mają mi do powiedzenia; ich poważne twarze były mi zwiastunem nieszczęścia. Nie miałem odwagi zapytać ich się, co się stało, a oni nie mieli odwagi pierwsi do rzeczy przystąpić.

Wreszcie zdobyłem się na pytanie; odpowiedziano mi ze łzami te okrutne słowa:

— Pani Miecznikowa kona, a młoda pani już nie żyje!..

Wpadłem szalony, bezprzytomny do żony!..

Rzeczywiście tak było, jak służba powiadała. Córka, która w nieobecności jej męża zamieszkała u matki, leżała na posłaniu nieżywa, a obok niej maleńkie dziecię, także nieżywe. Żona moja znajdowała się w stanie okropnym; w malignie ani nawet mnie poznać nie mogła. Obok łóżka siedział już lekarz.

Jeden z moich urzędników gospodarczych wziął także udział w bitwie. Jemu więc była wiadomą śmierć mego syna i zięcia, a zarazem widząc mnie skrwawionego leżącego bez zmy-

słów na posłaniu, sądził, że także nie żyję. On to przybył dzisiaj już w południe i niewiastom powiedział, żeśmy zginęli.

Nieszczęsny człowiek stał się pomimowolnie zabójcą dwóch istot....

Wieść ta była zabijającą. Córka natychmiast padła i za godzinę umarła, wydawszy poprzednio na świat nieżywe dzieciątko.

Opisywać, co się ze mną działo, ilem wycierpiał, byłoby zbytecznem, gdyż każdy lepiej to sobie wytłumaczy, aniżeli ja potrafiłbym opowiedzieć. Żona była szczęśliwszą odemnie, gdyż dla choroby uniknęła widoku trzech trumien spadających do grobu!

Ach! srogi to był widok, sroższy od samej śmierci! I mnie on złamał. Padłem na ziemię bez zmysłów, aby je dopiero po kilku tygodniach odzyskać. Straszna choroba przytrzymała mnie długi, długi czas w łóżku, z którego powstałem nareszcie podobniejszy do szkieletu, aniżeli do człowieka.

I żona powstała dopiero po pół roku z łoża jako wynędzniała, wychudła mara. —

Tu Miecznik przerwał. Opuścił głowę na piersi, a ustami poruszał, jakby się modlił. Słuchacze byli mocno wzruszeni; panna Celina, Stolnikowa i inne damy w głos płakały, a mężczyźni tedy i owedy ruszali wąsami, lub wylotem kontusza sięgali do oczu. Miecznik wyraźnie cierpiał pod wrażeniem wspomnienia na nieszczęśliwe wypadki, które go naraz dzieci, całej jego pociechy pozbawiły.

Słuchacze szanując cichą boleść jego nie śmieli przerwać milczenia, aż dopiero po długim czasie odezwał się Stolnik:

— Smutna to historya, panie Mieczniku, smutniejsza, aniżeliśmy się spodziewali. Słyszałem ją już prawda, ale nie ze wszystkiemi szczegółami tak jak dzisiaj — a otóż i do łez mnie pobudziła.

Miecznik ścisnął go za rękę.

— Dziękuję za współczucie, — wyrzekł, — dziękuję, panie Stolniku. Tak jest, smutna to historya; już samo opowiadanie ściska za serce, a cóż dopiero rzeczywistość!.. Ukazanie się wczoraj owej strasznej larwy, jak mniemam, tej samej, oznajmia zapewne, że jestem w przededniu jakiegoś nowego nieszczęścia.

— Na cóż się strachać przed czasem? — wtrąciła Stolnikowa; — może się stanie coś lepszego, jak dawniej.

— Tak jest, tak jest, mości Mieczniku, — rzekł szybko Stolnik przytakując żonie, — ten sam prognostyk może raz nieszczęście, a inny raz szczęście zwiastować. Mam dziwne przeczucie, że tą razą ukazanie się widziadła, jest dobrą wróżbą.

Miecznik poruszył głową, na znak niedowierzania, a i sam Stolnik nie mówił tego z wewnętrznego przekonania, tylko aby nie zastraszać przyjaciela.

— Bądź jak bądź, — dodał znowu Stolnik, — muszę jaskinię kazać rozwalić, wtenczas nie będzie bies miał się gdzie ukrywać. Chociaż to sama skała, jednak sile prochu się nie oprze.

Jeszcze tego samego dnia odjechał Miecznik do Jabłowa, aby się przekonać, czy w domu nie zaszło jakie nieszczęście.

Widma pod dębem już odtąd nie widywano. Nieraz sam Stolnik przypatrywał się nocami jaskini potępieńca z wieży zamkowej, ale nic osobliwszego nie mógł ujrzeć. Do rozwalenia groty była według jego zdania teraz najlepsza pora, aby raz na zawsze usunąć przyczynę baśni w okolicy.

Od opisanego w przeszłym rozdziale wydarzenia, upłynęło kilka tygodni. Jesień zaczęła się na dobre. Wiatr pomiatał suchemi liściami, a jeszcze niedawno zielone, pełne lasy zżółkły i zrzedniały. Tedy i owedy ostrzejsze wiatry spędzały z drzew resztę ozdób, przynosząc natomiast przedsmak zimowego powietrza.

Zwykle po pierwszych jesiennych deszczach, następuje kilka tygodni pięknej pory. Niebo nie zasępia się, wiatry ustają i na świecie trwa piękna pogoda letnia, tylko nie tak gorąca, a ztąd przyjemniejsza.

Właśnie teraz nastały dnie piękne, przyjemne.

Już było po południu. Stolnik z Cześnikiewiczem siedzieli na ganku i rozmawiali o stosunkach politycznych kraju.

W tem przyprowadzono przed ganek dwa konie, które Stolnik nabył przed kilku dniami. Były to dwa źrebce dopiero tylko co ujeżdżone. Gdy Stolnik z upodobaniem przypatrywał się szlachetnym stworzeniom, przybiegła Stolnikowa

z córką, aby także zobaczyć owe wychwalone, oczekiwane konie.

Panna Celina była wielką lubowniczką jazdy, więc skoro tylko zobaczyła konie, zaraz klasnęła w rączki od radości i zawołała:

— Ach ojcze! jakie piękne koniki!

Stolnik pokręcił wąsa z dumą.

— Pozwól ojcze! — szczebiotała dalej Celina przymilając się, — o pozwól!... ja się niemi cokolwiek przejadę.

Stolnik nie chciał z razu zezwolić, ale uległ wreszcie namowie, zwłaszcza, że Cześnikiewicz przyrzekł sam wziąść cugle w ręce.

Zaprzężono rumaki do karyolki. Pięknie było patrzeć, gdy główki małe wzniosły do góry, a bystrem, małem, mądrem okiem, zdawały się uśmiechać do każdego. Celina krótko się tylko ubierała, a już zaczęły się niecierpliwić; to nogą ziemię biły, to szyją wyrzucały, to się boczyły.

Wreszcie Celina wsiadła. — Cześnikiewicz siadł na kozioł i rumaki wolnym kłusem wyjechały za bramę.

Z upodobaniem patrzał Stolnik z ganku, jak kolasa szybko toczyła się pomiędzy lipami. Cześnikiewicz opisał koło wielkie, zawrócił i pojechał dalej.

Nagle Stolnik zbladł i zakrzyknął:

— Jezus, Marya!... na ratunek!... konie ich poniosły!...

Hałas zrobił się na dziedzińcu i w momencie kilku puściło się konno po kolasę.

Gdy Cześnikiewicz pierwsze opisał koło i zawrócił, obydwa konie stawiły dęba i lotem ptaka puściły się wprost przed siebie. Cześnikiewicz zbladł, ciągnął cuglami, aż mu się ręce pokrwawiły, ale napróżno.... konie wzięły na kieł! Celina krzyknęła z przestrachu — konie jeszcze mocniej ciągnęły. Wpadły teraz na pole górzyste, pełne kamieni; kolasa skakała jak piłka, a Cześnikiewicz osobliwszym przypadkiem wypadł na ziemię. Rozpędzone konie wyrwały mu z rąk cugle i w najszaleńszym pędzie leciały z góry na dół do lasu. Pomiędzy nimi a lasem było urwisko skaliste, przez które konie w każdym razie przebiegnąć muszą, a wtedy kolasa potrzaska się na kawałki.

Celina nie wydała głosu ze siebie, bo szybki pęd, oddech jej tamuje, ciąg powietrza gniecie jej piersi i odejmuje przytomność, a jednak wszystko widzi, czuje i słyszy. Siedziała nieruchoma, martwa, kołysana, podrzucana szalonemi podskokami kolasy po kamieniach.

Urwisko już tuż... tuż... zguba nieuchronna!

Nie, jeszcze Opatrzność zesłała jej nagły niespodziewany ratunek.

Tuż nad samem urwiskiem doskoczył jakiś człowiek i silną ręką pochwycił konie z niesłychaną odwagą za cugle przy pyskach. Zerwały się najprzód do góry, a potem przyklękły prawie na kolana — w tym też momencie nadbiegła pomoc ze zamku.

Człowiek, który konie nad urwiskiem przytrzymał, leżał teraz wznak na ziemi, a krew z ust i z nosa lała mu się strumieniami. Celina zemdlała. Widziała jeszcze swego wybawiciela jak chwytał konie, wykrzyknęła radośnie, bo jej się zdawało, że to anioł z nieba, ale natychmiast ją zmysły opuściły.

Stolnik sam przyjechał. Uściskał jeszcze omdlałą córkę, a potem zniżył się nad skrwawionym człowiekiem. Nie można było go poznać, gdyż całą twarz miał krwią oblaną, tyle można było tylko wymiarkować, że musiał być bardzo ubogim.

Dalszy ciąg nastąpi.

KAZIMIERZ WIELKI, OBRONCA KMIECI.

Stan rolniczy, kmiecy, pracą rąk swoich inne stany żywiący, zasługuje na jak największy szacunek. Źle ten czyni, kto gardzi ludem wiejskim, a cześć temu, kto dla dobra i oświaty ludu się poświęca. Niesłusznie działo się dawniej w różnych krajach, że chłopa za nic sobie ważono. Nie było wprawdzie tak źle w Polsce, jak gdzie indziej, jednak możni panowie nieraz lud uciskali. Zabiegał temu, jak mógł, dobry król Kazimierz, biorąc lud wiejski i rzemieślniczy w szczególną swoją opiekę. Słuchał chętnie skarg i próśb włościan a nieraz przebrany chodził po kraju, aby się dowiedzieć, jak się powodzi biednemu ludowi. Możnych panów karał nieraz za ucisk chłopów bardzo surowo. I tak gdy razu pewnego dwaj pankowie Pszonka Jasieńczyk i Otto z Szczekarzowic na polowaniu spusztoszyli pola wieśniacze, a lamentujących nad krzywdą kmieci jeszcze obatożyli, Kazimierz nietylko dumnym pankom kazał szkodę wyrządzoną wynagrodzić, ale i chłostą ich przez tych sa-

mych chłopów, których ukrzywdzili, ukarać rozkazał. Tak sprawiedliwym i lud swój miłującym był król Kazimierz Wielki.

Słuchał on chętnie rad poczciwego Bruzdy, sołtysa we wsi Łobozowie, położonej obok Krakowa. Tam przebywał nieraz Kazimierz, aby wytknąć po trudach panowania, a wtedy chętnie rozmawiał z Bruzdą o potrzebach włościan.

Błogosławioną niech będzie pamięć wielkiego naszego króla, że tak troskliwym był ojcem dla młodszej braci, a daj Boże, aby wszyscy zamożniejsi i światlejsi Polacy, pomnąc na przykład wzniosły Kazimierza Wielkiego, miłowali serdecznie lud wiejski i rzemieślniczy, braterstwo ścisłe z nim zawierając i dla jego dobra i oświaty pracując. Ale niech też i bracia włościanie i bracia mieszczanie idą śladami swego opiekuna i niech kochają szczerze Ojczyznę Polskę, którą tak wielce umiłował król Kazimierz. A tu niestety! taka nieraz oziębłość dla naszej matki Polski między włościanami się napotyka, iż nawet często niejeden chłop, niejeden rzemieślnik nie przyznaje się, iż jest Polakiem, a dla dobra wspólnego nie chce nawet tyle, co czarne za paznokciem uczynić. Oby ta oziębłość raz przecież zniknęła, aby wszyscy Polacy, bez względu na to, czy są bogatymi lub ubogimi, uczonymi lub prostakami, wypełniali szczerze święte obowiązki względem narodu, które sam Bóg w serca nasze wszczepił.

Rozciągnął dobry Kazimierz swą troskliwość i na Żydów których wszędzie w Europie srogo prześladowano. Już dawniej Żydzi w Polsce znaleźli gościnne przyjęcie, ale pod Kazimierzem uzyskali wielkie przywileje. Nie odwdzięczyli się za to Izraelici drugiej swej Ojczyźnie, gdyż nieraz po nieprzyjacielsku naprzeciw Polakom występowali. Daj Boże, aby szczerze pokochali Polskę, dla jej dobra pracując. Patrz rycinę na stronie 49.

ZAGADKI ŻYCIA.

Każdemu wiadomo, że nasiona roślin zachowują swą żywotność w stanie utajonym czas bardzo długi. W roku 1853 przywiózł prof. Ridolfi do Francyi snop zboża niewymłóconego, który leżał w grobie mumii egipskiej przeszło 3000 lat, a którego ziarna nie straciły mocy kiełkowania i zasadzone w ziemi, zwyczajnym trybem rosły i wydały roślinę i owoc.

Ta zdolność zachowywania życia, przysługuje także w wysokim stopniu żyjątkom powietrznym. Powietrze, którem oddychamy, jest pełne niezliczonych zarodków, które nieraz stulecia całe muszą wyczekiwać na zjawienie się odpowiednich im warunków życia t. j. odpowiedniego stopnia ciepłoty, wilgoci itp. W roku 1707 powtarzał Spalamani 11 razy z rzędu doświadczenia z żyjątkami temi, wstrzymując ich żywotność przez suszenie ich, a obudzając w nich napowrót życie przez zwilżenie tego pyłu organicznego wodą. Zimno wywołuje w tym kierunku zjawiska nadzwyczajne. Spalamani zachowywał żaby przez dwa lata w kupie śniegu, skutkiem czego zeschły się one, zesztywniały i zdrętwiały tak, iż nie można było spostrzedz u nich śladu czucia lub ruchliwości. Wystawił je potem na działanie stopniowo wzmagającego się ciepła i w krótkim czasie obudzał w nich po dwóletnim śnie ponowne życie.

U ludu panuje przekonanie, iż żaby zdołają żyć w zamkniętem wnętrzu kamieni długie czasy. Badacz francuzki A. de Rochas jął się zbadania tej sprawy i przekonał się, iż pogłoski o takich wewnątrz kamieni znalezionych żyjących żabach, opierały się we wszystkich trzydziestu zbadanych przezeń wypadkach, na faktach rzeczywistych. Herisst, członek akademii nauk w Paryżu, wykonał pod okiem ks. Orleanu w Raincy doświadczenie takie: Do muru stawianego w r. 1814 zamurowano w gipsie szczelnie kilka ropuch. Po czterech latach rozłupano gips i znaleziono zwierzęta żywe i do tego stopnia ruchliwe, iż niektóre z nich zaraz w pierwszej chwili uwolnienia ich z więzienia gipsowego, zaczęły chyżo uciekać jedna po drugiej i wykonywać swe funkcye żywotne tak, jakby w ich życiu nie zaszła żadna przerwa nadzwyczajna. Kilka z tych samych ropuch zamurowano napowrót w gips tego muru, a gdy po 10 latach wydobyto je znowu, znaleziono jeszcze jedną ropuchę żyjącą.

Zjawiska podobnego wstrzymania życia znajdujemy nietylko w świecie gadów. Spotykamy je w różnych odmianach, na wszystkich szczeblach szeregu istot organicznych. Całkiem zmarznięte i zlodowaciałe ryby, transportowane przez mieszkańców północnej Ameryki i Rosyi, nie raz po kilku tygodniach wracają do życia, skoro je się włoży do wody o zwyczajnej ciepłocie.

U człowieka wreszcie zdarzają się także wypadki, których życie zostaje wstrzymane na czas pewien, czyli przerwane prawie całkowicie. Zjawiska te znane są pod nazwą śmierci pozornej, czyli letargu. Dr. Pfendle, został raz przywołany w Wiedniu do 15-letniej panienki cierpiącej często na nerwy i zapadającej po każdym napadzie chorobliwym na 3—4 dni w sen letargiczny, podczas którego wszystkie funkcye żywotne ustawały prawie całkowicie. Gdy pewnego razu sen ten przedłużył się nad miarę, gdyż do 5 tygodni, a najsławniejsi wówczas lekarze wiedeńscy chorą opuścili, orzekając, iż nie ma żadnej nadziei uratowania jej życia, poczęto uważać ją za umarłą i zaprzestano wszelkich środków leczniczych. Pfendlera zaciekawił ten wypadek. Wezwał więc do pomocy swego kolegę Franka i postanowiono naprzemian czuwać przy łóżku zmarłej dziewczynki przez czas jakiś. W kilka dni poczęli członkowie rodziny zmarłej narzekać na wzmagający się zapach trupi i nalegać o przyspieszenie pogrzebu. Pfendler chcąc przekonać się o postępie zgnilizny ciała, zbliżył się jeszcze raz do zmarłej i dostrzegł lekkie poruszenie klatki piersiowej. Zarządził więc natychmiast nacierania, wśród których nagle rozwarła oczy a widząc się pośród przyborów pogrzebowych z całą przytomnością umysłu wyrzekła: „Ależ jeszczem za młoda, abym miała umierać”. Odtąd szybko powracała do siebie i wyzdrowiała zupełnie.

Podczas odwrotu Napoleona z Rosyi w r. 1812, postanowił kapitan Tascher pogrzebane dzień wprzódy ciało swego jenerała wykopać z grobu i przewieść do Francyi. Odkopano trumnę, a gdy ją celem przełożenia ciała do okutej skrzyni transportowej otworzono, spostrzeżono, że jenerał oddycha jeszcze. Staraniom przywiązanego kapitana udało się też przywrócić go do życia i dowieść żywego do ojczyzny. W kilkanaście lat później ten sam jenerał, wówczas już marszałek Ornano niósł jeden końców z żałobnego całunu, kryjącego zwłoki przywiązanego kapitana.